

Amelia Korycka

Sygnatura notacji: **N0517**

Data urodzenia: **01.10.1926 r.**

Data nagrania: **24.08.2023 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Szczecin, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Szymon Nowak**

Czas nagrania: **37 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Amelia Korycka: Przed Powstaniem przez całą okupację prowadziły internat dla sierot i półsierot, i w związku z tym dostawały różne produkty z RGO [Rady Głównej Opiekuńczej]. Czym było RGO to ja już chyba nie muszę tłumaczyć. Natomiast w czasie okupacji w Warszawie istniały dwa kuratoria: kuratorium warszawskie i kuratorium poznańskie. Kuratorium poznańskie miało w Warszawie gimnazjum, liceum i uniwersytet, a kuratorium warszawskie wszystkie swoje szkoły jakimi zawiadowało wcześniej. Sprawa tego kuratorium poznańskiego, po prostu mało się o tym mówi, mało się o tym wie. Ono się nazywało po prostu Gimnazjum i Liceum Ziem Zachodnich i takowe..., taki sam był również uniwersytet. A ja chciałam pójść na medycynę i w związku z tym po zdaniu matury miałam szansę dostać się na uniwersytet tychże samych Ziem Zachodnich. No ale wybuchło Powstanie i wszystko się niestety zmieniło. Moje osobiste wspomnienia z tego szpitala to na początku pamiętam, że była bardzo ciężka praca, a potem, a potem było jeszcze gorzej, ponieważ było więcej rannych, a mniej..., a personel pozostał ten, taki sam jak był. Byłam traktowana jako, jako pielęgniarka w tym szpitalu i prowadziłam salę, na której leżeli ranni. W jakimś momencie do naszego szpitala zostali dostarczeni ranni Niemcy, którzy byli jeńcami w kinie „Urania”, a kino Urania zostało zbombardowane przez Niemców i tam było szereg rannych Niemców, którzy dotarli..., leżeli w naszym szpitalu. Było to już we wrześniu i po prostu wszyscy już leżeli wtedy na na podłodze, bez łóżek i bez..., bez jakichś specjalnych wygod. Bardzo przeżyłam w czasie okupacji historię, która miała po prostu miejsce na terenie zgrupowania „Zaremba-Piorun”. Chłopcy z kompanii Sylwestra zdobyli na rogu Żulińskiego i Poznańskiej jakąś knajpę, w której był alkohol. W czasie Powstania nie wolno..., był zakaz używania alkoholu, natomiast chłopcy zabrali stamtąd ten alkohol, który tam zastali, wrócili do siebie na kwaterę i zaczęli się dzielić tymże alkoholem. Okazało się, że była jedna butelka Vermouthu, której nie potrafili między siebie podzielić. Wszedł na to dowódca kompanii Sylwester i powiedział: „To ja was pogodzę”. Wziął

tę butelkę. Poprosił swojego zastępcę i trzy łączniczki i wypili z tego może po kieliszku. I wszyscy się ciężko pochorowali i cała piątka zmarła. Kolega, lekarz ze szpitala, z naszego szpitala, który został do nich wezwany, próbował robić, ale niewiele potrafił i niewiele mógł zresztą zrobić. Ale zabrał tę butelkę z myślą o tym, że może po powstaniu uda się ustalić, jakiego rodzaju była to trucizna. Niestety wstawił ją między inne butelki, które były w szpitalu z alkoholem i któreś..., to wszystko było już we wrześniu, na początku września, a którejś pięknej nocy, kiedy nasz zespół operacyjny operował u pana docenta Zawadowskiego, ten sam kolega wziął ten Vermouth i postanowił wzmocnić kolegów po ciężkiej..., w czasie ciężkiej pracy nocnej przy operacji. Tak jak to jest w szpitalach wojskowych, pierwszy kieliszek dostał komendant, a potem reszta zespołu operacyjnego. I ponieważ kieliszki były małe, więc siostrami operacyjnym, dla sióstr operacyjnych nie starczyło Vermouthu. Bardzo były tym rozgoryczone z tego powodu, jak przywędrowały w nocy do nas do sypialni, gdzie wszystkie razem spały. Rano się okazało, że cały nasz personel chirurgiczny jest ciężko zatruty. Było to chyba 8 albo 9 osób. Już w tej chwili nie potra..., może potrafiłabym ich po imionach jakoś sobie przywołać, ale w każdym razie wszyscy, wszyscy chirurdzy plus medycy, którzy pomagali na oddziale przy zabiegach. Natychmiast płakaliśmy wszystkim żołądki, walcząc o ich życie. Udało się, im wszystkim udało się przeżyć, chociaż przy leżeli prawie 10 dni ciężko, ciężko chorzy i myślę, że to zatrucie było wstępem do wcześniejszej śmierci ich wszystkich. Zostaliśmy w szpitalu z prawie setką rannych bez żadnego chirurga. Pomagali nam wtedy z sąsiednich oddziałów. Na szczęście wszyscy oni jakoś po 10 dniach czy 2 tygodniach pozbierali się. Szpital był na tyle dziwnym szpitalem na tle Powstania, że każdy ranny dostał wychodząc ze szpitala małą kartkę z rozpoznaniem co było zrobione i jaka była przyczyna tego zabiegu operacyjnego. W momencie kapitulacji, Niemców odprowadziłam na szóste..., ponieważ to byli moi ranni, na 6 Sierpnia do szpitala, który był całe Powstanie w rękach niemieckich. Zachowywali się bardzo, bardzo grzecznie, bardzo przyzwoicie. Zapraszali mnie, żebym razem z nimi przeszła, ale ja ich odprowadziłam i podziękowałam, i zostały mi we wspomnieniach po nich wszy. Po prostu zwyczajne wszy. Bo oni też byli w takich warunkach przetrzymywani w tym kinie, że... No, w każdym razie w ramach kapitulacji zostało ustalone, że ciężko ranni żołnierze zostaną odwiezieni do obozów jenieckich. Według moich wiadomości odeszły dwa pociągi sanitarne z jeńcami do obozów jenieckich. Pierwszym pociągiem sanitarnym wyjechałam ja, to był 3 albo 4 październik, z ciężko rannymi żołnierzami. Trafiłam do takiego..., to były, to był pociąg dla lekko rannych Niemców przewożonych z frontu, więc były to wagony towarowe, po dwóch stronach mające podwójne, dwa rzędy prycz, na których mieściło się szesnastu, szesnastu rannych. Trafiłam do wagonu, w którym były dwie panie nie mające zielonego pojęcia o o sanitariacie. Jedną to była pani Hela Grossówna, a drugą to była jej koleżanka – Żenia Magierówna. Ponieważ ta szesnastka naszych rannych, ciężko rannych, prawie nic nie jadła, a mieliśmy zaopatrzenie przez dwie doby, jak jechaliśmy tym pociągiem, takie jak lekko ranni Niemcy, więc mieliśmy mnóstwo żywienia, mnóstwo jedzenia. Jak dojechaliśmy do obozu, do Stalagu 11 A, to był Altengrabow, dojechaliśmy do jego filii, do Gross-Lübars. i. I bardzo ochoczo rozdałyśmy wszystko, całą żywność jakąś miałyśmy, tym rosyjskim jeńcom, którzy byli w strasznych warunkach, bo Rosja nie podpisała umowy z Czerwonym Krzyżem, i oni nie mieli żadnej absolutnie pomocy, byli zdani tylko na to, co im dawali w obozie Niemcy. Trafiliśmy do Gross-Lübars, do dużych baraków, zimnych, nie ogrzewanych. Potem się okazało, że były jakieś małe piecyki, którymi można było to ogrzewać. Zanim nas tam spisano, zakatalogowano, to minęły prawie dwie doby, które spędziliśmy po prostu na dworze z lekko, lekko mżącym deszczykiem. No ale dobrnęliśmy w tym Altengrabow, zorganizowaliśmy się w charakterze..., ja mówię się, ale ja byłam tam właściwie małym trybikiem w tej całej organizacji. Było kilku lekarzy, chirurgów, dyplomowanych pielęgniarek, które po prostu no, zorganizowały szpital. Na przedoboziu zostały kobie-

ty, ciężko ranne kobiety, pozostali mężczyźni i personel – na terenie Gross-Lübars. Początek był tam bardzo trudny, ciężki, ponieważ Niemcy nie dostarczali ani leków, ani żadnych materiałów opatrunkowych. Mielśmy tylko to, co było zabrane ze sobą z Warszawy. No ale zorganizowaliśmy się jakoś i to..., i ten szpital z trochę lżej rannymi istniał w Gross-Lübars. W Altengrabow był szpital z 1939 roku z lekarzami z 1939 roku i tam trafiło kilkunastu ciężko rannych z naszego obozu, z naszego pociągu. Obóz ten w Gross-Lübars miał jednocześnie sąsiadów Holendrów, Francuzów i Rosjan, więc jakoś żeśmy się tam zadomowili i dotrwaliśmy do grudnia, do połowy grudnia. W tym momencie Niemcy uznali, że takie kuriozum jak kobiety-jeńcy to należy w jakiś sposób rozsegregować. Więc oficerów..., oficerowie kobiety zostały w obozie Zeithain, a podoficerowie i szeregowi zostali przewiezieni do Oberlangen. Trafiliśmy tam przed przed Bożym Narodzeniem. Zupełnie nie jestem w stanie sobie przypomnieć, jak to Boże Narodzenie wyglądało, ale przewiezieni zostaliśmy wagonami towarowymi po 40–50 osób w wagonie, co stwarzało możliwość stania połowie osób, bo połowa mogła przysiąść, ale wszyscy się nie mieścili w pozycji siedzącej. Więc tak żeśmy spędzili dwie doby i dobrnęliśmy do Oberlangen. A Oberlangen ma swoją historię, którą ja może króciutko postaram się streścić. Był to obóz w latach 30. założony dla Niemców jako kacet [obóz koncentracyjny], potem został zlikwidowany i w 1939 roku osadzeni tam zostali podchorążowie, polscy podchorążowie, bo Niemcy nie bardzo wiedzieli, co z nimi zrobić. Czy to są już oficerowie, czy jeszcze podoficerowie, ale byli tam przez parę miesięcy bardzo..., walcząc o to, żeby ich stamtąd zabrano, bo warunki były tam okropne. Obóz był położony na bagnach i z daleka od jakichkolwiek zabudowań i ludzi, po czym po nich byli tam jeńcy włoscy, którzy umierali tam tak jak muchy, po kilkaset osób dziennie, więc zlikwidowano ten obóz i stał pusty przez jakiś czas, a potem uznano, że on się świetnie nadaje dla Polek z Powstania i przywieziono tam wszystkich innych obozów jenieckich kobiety, które były w stopniach podoficerskich i szeregowych. Było nas tam 1728 kobiet i kilkoro dzieci. Muszę powiedzieć, że baraki były ogromne, po 200 osób. Sienniki miały nazwę, ale w środku nic nie było. Poza tym Niemcy dawali jakiś zużyty koc do przykrycia i to właściwie było wszystko. Ja natomiast w ramach tego szpitala z Oberlangen zostałam na przedoboziu i mieszkaliśmy w izbie, która przylegała do pralni, a zajmowałyśmy się..., to było komando, które się nazywało łaźnia i pralnia. Jak było potrzeba na jakąś zmianę do szpitala w charakterze sanita..., pielęgniarki, to, to żeśmy pomagały w szpitalu. Ordynatorem szpitala była pani doktor Dobrowolska Jadwiga, przemiły i bardzo, bardzo życzliwy człowiek. Natomiast komendantką tego..., tej łaźni i pralni była Hela Grossówna, która okazała się przemiłym i dobrym człowiekiem, którą Niemcy przez cały czas namawiali, żeby podpisała volkslistę, bo się nazywa Gross. No ale jakoś ona potrafiła się z tego wykić. W tym Oberlangen było bardzo różne towarzystwo, poczynając od profesorek uniwersyteckich, kończąc na nauczycielach szkół powszechnych. W związku z tym zorganizowana była szkoła powszechna, gimnazjum i liceum, nauka języków obcych, jakieś prelekcje z muzyki, z architektury, z historii, ponieważ towarzystwo było o bardzo różnych umiejętnościach. Komendantem tego szpitala była kapitan Milewska Maria, która nie przyznała się do swojego oficerskiego stopnia i w związku z tym trafiła do tegoż, do tego obozu. W tym obozie wielokrotnie bywałam głodna, tak jak i wszystkie, ponieważ podstawowym wyżywieniem było jakieś 200 gramów mało jadalnego chleba, tudzież do tego była zupa, która często składała się z brukwi albo suszonych..., suszonego jarmużu, który się w ogóle nie rozgotowywał. To było..., jak były jakieś ziemniaki w obierkach w zupie, to było coś nadzwyczajnego. W każdym razie potrafiłyśmy się w jakiś sposób zorganizować, tak że niektóre..., za niektórymi dziewczynami z różnych obozów przywędrowały paczki. Paczki z Czerwonego Krzyża Szwajcarskiego. Niektóre paczki docierały do nas ze Szwecji, ze Szwedzkiego Czerwonego Krzyża. No ale tak jakoś... W Gross-Lübars wspierali nas różni jeńcy z 1939 roku, a tutaj byłyśmy same. Więc 12 kwietnia, w ogóle sytuacja robiła się coraz

bardziej wskazująca na kończącą się wojnę, a przynajmniej na zbliżający się do nas front, bo byliśmy pod granicą holenderską. I słychać już było działa i bitwy, i widać już było naloty. Znaczy dla nas to były przelatujące samoloty, nie było tam żadnych możliwości bombardowania, bo nie było czego, bo była pustka wkoło. I 12 kwietnia z nagłą pierwsza..., 2. Pułk Pancerny Pierwszej Dywizji Maczka dowiedział się od Holendrów, że tam gdzieś niedaleko jest obóz Polek z Powstania. No i i oni z polską fantazją wsiedli w jeden czołg, w jakieś jeszcze dwa samochody pancerne i dwa jeepy, i wybrali się zobaczyć, co to jest. No i w ten sposób Niemcy bardzo szybko zrezygnowali z jakiegokolwiek obrony. Został tylko..., zginął tylko chyba komendant tego obozu, bo jakoś nie chciał zgodzić na to, na kapitulację. Niemcy z wieżyczek zeszli z rękami podniesionymi do góry i nie próbowali nas bronić, a myśmy przeżyły w sumie razem no mnóstwo. Najpierw, najpierw usiłowaliśmy zidentyfikować, kto i co, mówiąc po angielsku, po francusku. I w pewnym momencie któryś zaklął przy drutach po polsku, że coś zgubił i się wtedy okazało, że odbili nas Polacy, więc... Naprawdę był to niesamowity dla nas wszystkich, niesamowity dzień, a szczególnie to, że oni się nami bardzo serdecznie zajęli i część ciężko rannych, naprawdę ciężko rannych kobiet, zabrali do Anglii do szpitala. Miałyśmy koleżankę, która wzrok straciła w czasie Powstania i... zaopatrzenie. A poza tym przenieśli ten obóz bardzo szybko do..., z Niederlangen do..., z Oberlangen do Niederlangen, bo tam były znacznie lepsze warunki. I to był obóz, w którym stacjonowali Niemcy po prostu. Więc w szybkim czasie szpital przeniósł się do szpitala dla „dipisow” [ang. displaced persons] w Meppen. W Meppen powstały dwa szpitale zorganizowane przez polską służbę sanitarną. Jeden to był właśnie ten dla dla „dipisow”, a drugi to był szpital chirurgiczny. Początkowo pracowałam w tym szpitalu „dipisowskim”, w którym była chirurgia, interna, ginekologia, położnictwo, i który w dużej mierze obsadzony był przez pociąg sanitarny węgierski. Ponieważ Węgrzy byli w niewoli, obsadzili ten szpital. A potem pracowałam w szpitalu chirurgicznym. Ukończyłam tam jakieś kursy sanitarne i w tym czasie do obszaru okupowanego przez 1. Dywizję Pancerną ściągali ludzie z całych Niemiec, z różnych obozów, z kacetów, ludzie, którzy byli na robotach w Niemczech, ponieważ wiedzieli, że tam mogą uzyskać od Polaków jakieś wsparcie. W ten sposób został zorganizowany..., miasto, które nazywało się miasto Haren nad Emsem [rzeką Ems], z którego wysiedlono Niemców i miasto to oddano do dyspozycji Polaków. Było to miasto, które nazywało się początkowo Lwów, a po jakimś okresie, krótkim okresie czasu nazywało się Maczków i jako Maczków zostało zorganizowane. Miało tam swoją policję, swoją swoją administrację, swoją szkołę, swoje gimnazjum, swoje harcerstwo. Jednym słowem Niemcy zostali wysiedleni w ten sposób, że wyszli ze swoimi prywatnymi rzeczami, zostawiając wszystko na miejscu. Po dwóch latach jak dywizja wracała do Anglii, a Niemcy wrócili do Maczkowa, podobno byli bardzo zdegustowani tym, co tam zastali, no ale Polacy tacy są. Próbowałam dostać się na studia. Jak już pokazałam, miałam maturę wydaną przez Związek Nauczycielstwa Polskiego w Niemczech, który został zorganizowany po wojnie, ale niestety mi się nie udało dostać do Brukseli ani powędrować do Andersa, bo tam też były możliwości studiów we Włoszech. W 1947 roku wróciłam do Polski statkiem z Lubeki do Szczecina i wysiedliśmy w Szczecinie na Wałach Chrobrego otoczeni wojskiem. Ciężarówkami wojskowymi zostaliśmy dowiezieni na Jagiellońską do punktu PUR-u [Państwowego Urzędu Repatriacyjnego], w którym spędziłam dwa dni, zanim mi wydano przepustkę i bilet kolejowy, żebym mogła dotrzeć do domu. Wtedy jeszcze funkcjonował pontonowy most na Odrze, także dojeżdżało się do mostu, wysiadało się, szło się na piechotę przez most, wsiadało się do pociągu za Odrą dopiero, bo nie wytrzymał ciężaru załadowanego pociągu. No w każdym razie dotarłam do domu, ojciec niestety poprzez Auschwitz i inne obozy zginął 8 lutego 1945 roku pod granicą szwajcarską, dla odmiany, tak że... Jak wróciłam do mamy do Sochaczewa, to starałam się dostać na studia. No i tak nie bardzo mi się to udało w 1947, no ale w 1948 roku jakoś się dostałam na studia w Łodzi

i skończyłam pięć, cztery lata medycyny w Łodzi, a na piąty przeniosłam się do Szczecina, ponieważ wyszłam za mąż na czwartym roku, to mąż dostał nakaz pracy do Szczecina. Skończyłam Politechnikę Łódzką i w związku z tym ja też skończyłam tu Akademię Medyczną w Szczecinie i trafiłam, nie mając zielonego pojęcia o tym, do swojego komendanta sanitarnego z Powstania, do doktora [Jana] Dorożyńskiego „Adama”, który był dyrektorem szpitala PSK 1, i do profesora [Ryszarda] Dreszera, który był szefem chirurgii dziecięcej w Akademii Medycznej. Ja nie chciałam pójść na chirurgię, natomiast dostałam się na pediatrię i na tej pediatrii przepracowałam 40 lat i w 1995 roku poszłam na emeryturę. Miałam trójkę dzieci. No i to chyba wszystko.

Na ulicy Poznańskiej to była taka znana msza powstańcza, 15 sierpnia, czy pani brała w niej udział?

Tam się odbyła na Poznańskiej 12, na dziedzińcu komendy łączności zgrupowania „Zaremby-Piorun” i tam do tej pory na tej Poznańskiej 12 jest..., są tablice, które wspominają o tym, tak samo jak i na terenie jajczarni jest też tablica pamiątkowa. Tylko 15 sierpnia..., był tam jeszcze na na domu... Ponieważ to było takie zamknięte podwórko, które miało front i potem oficynę z tyłu, więc było w miarę bezpieczne, chociaż ja nie pamiętam, czy wtedy tam też uderzył jakiś pocisk...? Nie pamiętam tego. W każdym razie staliśmy tak rzędkiem ustawieni pod tym... Marcin to pisał i dlatego pan pewnie o to zapytał, bo on tam był z matką i ze mną w czasie..., w 70. rocznicę powstania, i ja miałam to zdjęcie i oni się ustawiali tak jak na tym zdjęciu. Robili go w 70. rocznicę Powstania. Pamiętam też z rozrywki przez całe Powstanie koncert [Mieczysława] Fogga, który raz przyjechał do..., właśnie do nas, do tego Śródmieścia. Piosenka, którą ułożono w Śródmieściu, którą śpiewano na Poznańskiej i gdzie indziej, a której ja nie słyszę teraz w ogóle wśród powstańczych piosenek. To jest pierwsza strona, tu jest jeszcze druga. Może dlatego, z powodu autora, Polacy są czasem... Raz jeden usłyszałam to w wykonaniu, pierwszą zwrotkę, w wykonaniu jakiegoś chóru dziecięcego na siedemdziesięciolecie chyba.